

Ciężko było wyjeżdżać z Bocas Town na wyspie Colón w prowincji Bocas del Toro w zachodniej Panamie. Szczególnie o świcie. Jakoś z oporem zegnałem się z tym miejscem. O piątej rano lało, jak z cebra. Godzinę później deszcz nie ustawał. Z nieba leciały krople wielkości awokado. Prawdziwa tropikalna ulewa. Nie chciała wypuścić mnie z hotelu, z wyspy. Nie byłem tym zmartwiony. Za dobrze mi tam było...

### **Karaibska bliskość człowieka**

Klimat Karaibów rozczula człowieka za każdym razem. Niebawem, jak potrafi go także zmienić; przenosząc jego spojrzenie na inne życie, częstokroć do bólu skromne, choć kto wie czy nie lepsze, pełniejsze, bliższe ludzkich spraw. Wielu wraca z takich tropików bijąc się z podobnymi myślami: „może mieć mniej, znaczy mieć więcej?” Doprawdy, dużo tam życzliwości, przyjaznych spojrzeń, pomocnych gestów. I wieczna potrzeba bliskości, towarzystwa; do wygibasów salsy, gry w domino, do szklaneczki rumu. To wszystko jest spowite nienasyconą chęcią rozmowy. Na Karaibach komunikacja jest bazą codzienności; chce się rzec - czynnikiem niezbędnym. I nigdzie tak szybko nie odślania charakteru rozmówców, ich wigoru, ich emocji.

Rozmawia się głośno, bez umiaru, gestykując przy tym żywiołowo. Czy to dyskutują dwie sędziwe matrony w zatłoczonym busiku, czy nastolatki jazgoczące do swych bajeranckich komórek - zawsze będzie to komunikacja zaangażowana. Tego właśnie pragniemy najbardziej uciekając z poukładanej Północy na bezładne, zwariowane Południe: obfitości życia i kolorytu we wszystkim. Tego pociągającego luzu i braku pośpiechu. Tej chwilowej, acz wyczekiwanej „wolności”.

Będę tęsknił za tym panamskim tropikiem, za panamskimi Karaibami. Ostatniego dnia wyszedłem na werandę hotelu o lirycznej nazwie *Olas de la Madrugada* - „Fale wczesnego poranka”. Przy barze zwisała kiść miniaturowych bananów. Było ich tam ze sto, może więcej, pełen urodzaj. Wybrałem dwa dojrzałe owoce, obrałem niespiesznie i zjadłem. Gdzieś w oddali puszczali w radio panamski reggaeton. Ta muzyka jest z natury głośna, buńczuczna i rytmiczna. Ze sporym ładunkiem rozpusty. Zwłaszcza, jeśli chodzi o teksty i choreografię, co widać w niejednym teledysku. Na pewno poszerza swym duchem karaibską nastrojowość. Zresztą, jej pochodzenie jest karaibskie. Zrodziła się w Portoryko pod koniec lat 90. XX wieku.

### **Muchachita i rum**

Dźwięki tego szaleńczego reggaetonu rozchodziły się po wodzie niewielkiej zatoki, ale dystans sprawiał, że do mych uszu wpadały one w wersji wyciszzonej, jakby łagodniejszej. Co

było całkiem przyjemnym doznaniem. Pamiętałem tamten kawałek... [Muchachita](#). Nagrał go Fernando Cabrera Guzmán, znany jako Mr. Saik. Dominikański artysta, który zrobił karierę w Panamie.

Spojrzałem przed siebie. Rozbrajającą panoramę tworzyły domy w kolorach pastelowych osadzone na palach, niektóre świeżo pomalowane, inne już nieco zmurszałe, lecz wciąż bijące jakąś radością. Podobnie wyglądał mój hotel: żółto-niebieski, trzymający się na filarach zagłębionych w dnie zatoki. Woda tu była uderzająco przejrzysta i nie brakowało w niej ławic drobnych ryb.

Przypomniał mi się fragment z „Wojny futbolowej” R. Kapuścińskiego, kiedy autor opisywał swój tymczasowy dom w stolicy Ghany – Akrze. *„Mieszkam na tratwie, w bocznej uliczce handlowej dzielnicy Akry. Tratwa stoi wyniesiona na słupach do wysokości pierwszego piętra i nazywa się Hotel Metropol. W porze deszczów ten dziwoląg architektoniczny gnije i pleśnieje, a w miesiącach suszy – rozsycha się i trzeszczy. Ale się trzyma! Pośrodku tratwy stoi zabudowanie podzielone na osiem przegród. To nasze pokoje. Reszta miejsca objęta rzeźbioną balustradą nazywa się werandą. Tam mamy wielki stół do posiłków i kilka małych stolików, przy których pijemy whisky i piwo.”*

Poza tym, że moja kwatery cechowała się znacznie lepszą kondycją ogólną, reszta powyższego opisu poniekąd pasowałaby do niej. W razie czego, zamiast whisky piłbym rum, nie żałując go. Proszę tu Kapuścińskiego o usprawiedliwienie. W „Wojnie futbolowej” wyznaje, że alkohol jest przyjacielem człowieka, szczególnie po zmroku. *„W tropiku picie jest przymusem”* – pisze. Dalej uściśla, że *„pije się w dzień, ale picie nakazane, picie programowe, odbywa się wieczorem.”*

#### **Zmierzch, jak z powieści**

Jest późne popołudnie, prawie wieczór. Palmy kokosowe, złane złotym kolorem słońca schodzącego na fajrant, strzelają ponad skorodowane rdzą dachy z blachy falistej. Czaple białe wzbijają się ponad gęste korony namorzynów, zataczają dwa, może trzy kręgi i zasiadają tam, jak do ptasiego radia. Po drugiej stronie ulicy scena, jak z marquezowej powieści. Tęga *doña* z wałkami we włosach, odziana w bufiastą, pstrokatą sukienkę spoczywa na bujanym fotelu przed chałupą i chłodzi się wachlarzem, łagodząc wieczorną duchotę. Czasem złażą smarkaczy, próbujących zwaśnić psa z kotem, jakby tamtym było mało na co dzień. W klatce o rozmiarach kredensu, kuśtyka po drążku papuga o zielono-żółtej głowie z czerwonymi „policzkami”. Skrzeczy, jakby chciała komuś naubliżyć.

Trzy młode, żywotne Mulatki, ubrane w mundurki szkolne, kartkują jakąś opasłą książkę,

coś w niej zaznaczają, trajkoczą i śmieją się. W tle za nimi bananowy zagajnik, wybujały mangowiec jeszcze bez owoców i drzewo chlebowe z owocami wielkimi, jak bycze jądra z gęsią skórką. Pierwsze światła domowych lamp. Woda w zatoce mieni się najpierw złotem, potem różem, fioletem, odbijając w swej tafli zmiany na gasnącym niebie. Kiedy kończy się dzień, wiadomo że to będzie szybki koniec, bo w tropiku zmierzch zapada, jakby na kłaśnięcie dłoni. Od razu ciemnica. Pozostaje czas odprężenia, smak soczystego ananasa z sokiem oblepiającym dłonie, nieodłączny rum „[Abuelo](#)” oraz spektakl błyskawic, gdzieś tam na horyzoncie. I zapach morskiej wody...

**Udostępnij artykuł na:**